JULIA – Maria Kocot

Nieśmiertelni

Odra niczym przezroczysty język nieznanego zwierzęcia skradała się w ciszy. Lubiłam patrzeć jak łapczywie wyciąga swe ramiona przepływów. Najbardziej podobały mi się w niej barwy, raz przybierała odcień jaskrawiej żółci, jakby przed chwilą utopiło się w niej słońce, innym razem wydawało mi się, że oto czerwona strużka mojej szminki przeciągnęła w niej rysę. Odra wyskakiwała z ust Gór Opawskich, należących do Sudetów Wschodnich, na początku chudziutka jak ruchliwe dziecko, potem rozrastała się, nabierała kształtów i tętniła siłą i radością.

- Wiktorio, wracaj do domu, bo się przeziębisz! – słyszałam w tle głos mojej bony.

Tymczasem karmiąc kamykami rzekę, próbowałam oswoić jej brzegi.

- Na jesieni będę już z Tomasem po słowie – szepnęłam jakby sama do siebie, jednak napotkałam naraz wzrok zielonkawych oczu, ciskających błyskawicami w moją stronę.

- Myślałam Wiktorio, że to, że jesteś Polką stanowi przeszkodę. Wiesz, przecież, że ojciec Tomasa posiada ważny głos w NSDAP i …- ma rudowłosa przyjaciółka nie dokończyła, bo weszłam jej w słowo:

- Nie martw się Marto, miłość ci wszystko wybaczy – zaczęłam śpiewać słowa modnej piosenki, na co obie roześmiałyśmy się w końcu.

Marta i ja – dwie pokrewne dusze, jakich nie było w całym Ratibor. Tylko z nią spacer po Bahnhoff –Strasse nabierał rumieńców. Tylko z nią można było podziwiać antyki z fabryki Tschaudera. Właściwie nasi ojcowie, czyli mój, Marty i Tomasa dzieli wspólny biznes, pracując jako zarządzający w fabryce czekolady Roka-Werke. Losy naszych rodów splatały się niczym warkocze.

- Pochodzimy od Piasta, nie zapominaj tego – mawiał z dumą tatko, gładząc mój gruby, złoty warkocz. Wzdrygałam wtedy ramionami, myśląc skrycie, że przecież nasz Ratiobor, Niemcy zagarnęli. W rok mojego urodzenia, na konferencji paryskiej, Niemcy wyciągnęli dłoń po me miasto, które w skutek niekorzystnego dla Polski plebiscytu, stało się niemieckie. Jednak dłonie moje, Marty i Tomasa trzymały się kurczowo przez całe dzieciństwo, sięgając dalej poza te podziały. Nawet nie wiem, kiedy na mym szczupłym palcu pojawił się zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem – prezent od Tomasa.

- Błękitny niczym strużka naszej Odry – potarła go wtedy Marta, chuchając w niego.

Tak…uwielbiałam nasze spacery nad Odrą, kochałam mój Ratibor…Symbolem tamtych dni stały także odwiedziny wuja Herberta. Właściwie Herbert Doms był wujem Marty, jednak i ja tak go nazywałam. Charyzmatyczny niemiecki duchowny, profesor dogmatyki i teologii moralnej prowadził wykłady w Braunsbergu, Fryburgu Bryzg, Münster, oraz w Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Swoje wykłady wygłaszał też w moim domu.

- Pani Andziu – mawiał do mej matuli – pani ciasteczka są godne grzechu, na co mama wybuchała srebrzystym śmiechem. Wtedy jeszcze nie rozumiałam jego wywodów, ani napisanej w 1935 roku książki pod tytułem „*Vom Zweck und Sinn der Ehe"* („O celu i znaczeniu małżeństwa"), w której odcinał się od nazistowskiej ideologii, podporządkowującej miłość małżonków, służbie III Rzeszy, poprzez dostarczanie jej oddanych obywateli. Jej znaczenie miałam dopiero poznać na własnej skórze…

Lato 1939 pieściło nas złocistymi promieniami słońca. Razem z Martą i Tomasem delektowaliśmy się widokiem naszej Odry. Wtedy przyszło mi na myśl, że swą orzeźwiającą barwą pragnie stopić się z naszą młodością. Wtedy ni stąd ni zowąd naszło mnie pytanie:

- Czy młodość to metryka czy stan ducha?

Moje rozmyślania przerwał głos Tomasa:

- Wiktorio, na jesieni uczynisz mnie najszczęśliwszym mężczyzna w całym Ratibor! Podaruje ci cały świat– te ostatnie słowa często powtarzał i zawsze odpowiadał mu mój promienny uśmiech, ale i złowrogie, ścignięte brwi Marty, co dostrzegałam kątem oka.

Jednak najwyraźniej humor Tomasa dopisywał, bo nieoczekiwanie złapał nas za ręce i biorąc rozbieg wszyscy razem wskoczyliśmy do rzeki:

- ŁŁŁŁŁŁŁŁuuu, jesteśmy nieśmiertelni!!!! – zwołaliśmy zgodnym chórem, upajając się chwilą.

Jakże często ją wspominaliśmy jesienią trzydziestego dziewiątego, kiedy w rytm niemieckich pieśni żołnierskich zaczął rozpadać się nasz świat. Płakałam z przerażenia, widząc Tomasa, przywdzianego w mundur Wermachtu. Szczypałam się, w nadziei, że to tylko zły sen. Jeszcze latem głaskaliśmy wody Odry, popijając oranżadę, a naraz znaleźliśmy się w piekle. Dopiero teraz odczułam na własnej skórze, co to znaczy być Polką. Wszyscy znajomi z Ratibor odwrócili się od nas. Pozostał tylko ojciec Marty, który zaoferował nam schronienie na Langsrasee. Wraz z rodzicami żyliśmy w naszej nowej rzeczywistości, dni i godziny zlewały się ze sobą, tworząc potok żałości, który oblewał nasze serca. Tylko dłonie Marty wciąż gładziły me złote włosy, zanurzały w nich dłonie, jakby chciały odwrócić zły los.

Aż pewnego dnia ciszę, którą oswajaliśmy od niemal roku, przerwało walenie do drzwi.

- Otwierać, w imieniu Trzeciej Rzeszy otwierać te cholerne drzwi! – przed nami wyrośli jak spod ziemi esesmani.
Ojciec wyprężył się dumnie, stając im naprzeciw.
- W imieniu Trzeciej Rzeszy skazuję cię na śmierć za działanie na szkodę państwa. Doszły nas słuchy, że działał pan, drogi Herr Nowak w Domu Kultury Strzecha. Oj, nieładnie, nieładnie drogi panie. A Ratibor przyjął was Polaków z otwartymi rękoma – syknął szyderczo esesman.
Ojciec podkręcił nerwowo wąsa, kiedy rzekł:
- Ta ziemia kocha zarówno was Niemców, jak i Polaków i Czechów – na co Niemiec tylko się roześmiał.
- Nie ma tu już miejsca dla narodu innego, jak nasza rasa Panów. Żegnam! – na co usłyszałam odgłos odpalonego pistoletu. Widząc ojca w kałuży krwi, zemdlałam. Obudził mnie chlust lodowatej wody i krzyk matki:
- Zostawcie ją, to jeszcze prawie dziecko!
Niemiec przyjrzał mi się uważnie:
- Właściwie, to nie mówisz głupot, kobieto. Nada się, bardzo dobrze się nada…
Patrzyłam na niego i nie rozumiałam o co chodzi, nawet wtedy, kiedy dołączył do niego inny, ubrany po cywilnemu, malutki człek w okularkach.
- Herr Fritz jest Urzędnikiem do Spraw Rasy – rzekł bardziej do siebie samego, niż do mnie. Po czym wyjął z torby dziwaczne urządzania, coś na wzór linijki i rozpoczął bardzo dokładne pomiary mojego czoła, nosa, rozstawu oczu.
- Nada się, naprawdę się nada – cmoknął z zachwytem, po czym chwycił mnie za ramiona i pociągnął za sobą. Kiedy opuszczałam pokój, kątem oka dostrzegłam… Martę. Początkowo chciałam krzyczeć, wołać rozpaczliwie o pomoc. Potem jednak zrezygnowałam z tego pomysłu, w obawie, że moje wołanie mogłoby jej zaszkodzić. Przecież ją także, chociaż jest Niemką, mogło zabrać gestapo.
- Jak to dobrze, że przynajmniej ona nie podzieliła mojego losu – ta myśl dodawała mi otuchy, nawet wtedy, kiedy znalazłam się w najdziwniejszym miejscu na ziemi. Stadisches Krankenhaus, zbudowany z cegły klinkierowej, miał wkrótce pokazać mi nieznane oblicze.

Od progu powitał mnie zapach ostrego lizolu, wgryzającego się w nozdrza. Prowadzono mnie przez sale, przed oczyma migały mi wiszące na korytarzu swastyki.
- Heil Hitler! – słyszałam zewsząd odgłosy nazistowskiego pozdrowienia.
- Freulein, niech pani poczeka przed salą zabiegową – rzucił do mnie mały człek, który towarzyszył mi przez cały czas, w drodze do Kraknkenhuas. – Herr Doktor zaraz Panią zbada.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby coś powiedzieć. Tymczasem przycupnęłam na małej, twardej ławeczce. Przez łzy, które cisnęły mi się do oczu, spostrzegłam kontury dziwnego plakatu. Otarłam oczy.

- „2+4 – oto preferowany model niemieckiej rodziny" – biły mnie po oczach czerwone litery i uśmiechnięte, blondwłose małżeństwo z czwórką równie jasnowłosych pociech.

- „Podaruj Aryjczyka Führerowi"– szyld następnego postera zaskakiwał mnie równie mocno, a szczególnie dopisek - „Chcesz dostać medal od samego Führera? Wydaj na świat piątkę wartościowej krwi obywateli"!

Moje rozważania przerwał stukot otwieranych drzwi:

- Heil Hitler! – nazistowski lekarz wyciągnął pewnie dłoń.

Cisza. Patrzył na mnie, po czym znowu powtórzył swoje pozdrowienie.

- Słyszę przecież! – krzyknęłam mu naraz, dając upust swoim emocjom. – Czego ode mnie chcecie?

Lekarz wstał i przyglądając mi się dokładnie, obszedł dookoła, mierząc od stóp do głów moją sylwetkę.

- Schön, sehr schön! – cmoknął z zachwytem. – Czaszka, proporcje i rozstaw oczu, typowe dla rasy aryjskiej.

- Ale ja jestem Polką, urodzona w Ratibor! – wykrzyknęłam naraz.

- Milcz! - machnął ręką, przeganiając moje przemyślenia. – Nadajesz się świetnie do programu.

- Co? – krzyknęłam. – Jaki program? Co wy planujecie? Wie Programm? – wrzeszczałam. Naraz poczułam, że oczy zachodzą mi mgłą i opadam z sił. Pamiętam tylko, jak z chrzęstem upadłam na białą podłogę. Potem obudził mnie zapach soli trzeźwiących i biała dłoń pielęgniarki, klepiąca mnie po twarzy.

Taką na wpół przytomną wprowadzono mnie do sterylnie czystej sali. Usiadłam na zbitym z metalowych prętów łóżku i rozpłakałam się,

- Nie płacz, dziewczyno – dopiero teraz zauważyłam, że nie jestem w pomieszczeniu sama. Spojrzałam na towarzyszkę mojej niedoli. Miała grube, jasne warkocze, jak ja i równie błękitne oczy.

- Ale utyłaś –krzyknęłam naraz, spoglądając na jej brzuch.

- Nie bądź niemądra! – żachnęła się tamta.- Przecież ja jestem brzemienna, nie widzisz? Zaraz ty też podzielisz mój los.

- Co? – spojrzałam gniewnie na nią. – Chyba nie wiesz, co mówisz. Przecież ja nie mam nawet męża.

Tamta naraz roześmiała się gorzko.

- Tutaj nie musisz mieć męża. Wystarczy, że pasujesz do ich schematów. Wybierają ci jakiegoś obleśnego Szkopa i rodzisz dziecko, a potem oddajesz go Rzeszy – usłyszałam słowa, po których zaczęłam wyć jak zranione zwierzę.

Długo nie mogłam jeszcze dojść do siebie. W każdą noc nie zmrużyłam nawet oka. Wolałam śmierć niż takie przeznaczenie. Aż któregoś dnia szepnęłam do tamtej dziewczyny:

- Jeśli lubisz mnie choć trochę, zdobądź dla mnie cyjanek.

Tamta pokręciła tylko przecząco głową.

- Słuchaj – rzekłam. – Dam ci to – ściągnęłam z palca mój zaręczynowy pierścionek od Tomasa.

Dziewczyna chwyciła go łapczywie, pocierając błękitne oczko.

- Dobrze –zaczęła wolno, jakby z ociąganiem. –Wydaje mi się, że wiem, gdzie trzymają leki.

I faktycznie, po kilku dniach trzymałam w ręku śmiercionośną fiolkę. Szczerze powiedziawszy, kiedy na nią spojrzałam, zaczęły targać mną wątpliwości.

- Boisz się umierać – uprzedziła moje myśli dziewczyna, ja jednak bałam się bardziej tego dnia, który wkrótce miał nadejść.

Demony moich myśli nadeszły jednak szybciej niż się tego spodziewałam. Oto pewnego księżycowego wieczora, w drzwiach pojawiała się pielęgniarka:

- Wychodzimy – rzuciła do mnie. – Czas realizować program.

Nogi ugięły się pode mną. Nie tracąc jednak zimnej krwi, w ręku ściskałam cyjanek. Kiedy szłam sterylnym korytarzem, chciałam wyć z rozpaczy. Oto pewnie to moje ostatnie minuty życia! Zamknęłam oczy. Jakże niedawno moczyłam nogi w Odrze, a teraz jestem prowadzona na szafot.

- Jesteśmy na miejscu – rzekła sucho pielęgniarka, pozostawiając mnie pod drzwiami gabinetu.

Nieśmiało popchnęłam klamkę. Gabinet tonął w mroku. Pachniał palonym cygarem i wodą kolońską. Przyćmione światło wskazywało, że ktoś się tutaj znajduje. Naraz postać włączyła światło i mrużąc oczy, miałam okazję przyjrzeć się jej. To co mnie uderzyło, to fakt, że oto miałam przed sobą sylwetkę greckiego, tyle że jasnowłosego, boga. Błękitne oczy przyglądały mi się z zachwytem, a mocno zarysowany podbródek mężczyzny zdradzał jego charyzmę.

- Wilhelm Gideon – usłyszałam głęboki, niski głos.

- Ja…ja jestem Wiktoria Nowak – wybąkałam tylko.

Musiało to zabrzmieć głupio, bo mężczyzna roześmiał się, odchylając głowę do tyłu.

- Ja…- zaczęłam znowu nieśmiało – nie chcę brać udziału w programie, bo….- jąkałam się – pamiętam, jak wujek Herbert Doms mawiał, że prawdziwa miłość miedzy mężczyzną a kobietą nie jest związana z koniecznością posiadania dziecka.

Mężczyznę musiały rozbawić moje słowa, bo zaśmiał się znowu, podając mi kieliszek wina:
- Słyszałem o twoim wuju, Wiktorio. Nawet Pius XII z nim polemizował. Bardzo chętnie poznam twego krewnego, wielką osobistość naszego Ratibor. A tymczasem wypij trochę wina.
Wzięłam łyk i zakrztusiłam się. Mężczyzna dobrodusznie poklepał mnie po plecach.
Naraz rozpłakałam się. Nie mogłam opanować emocji i nie wiedząc kiedy, mężczyzna objął mnie. Poczułam się dziwnie bezpieczna.
- Nie martw się, ta farsa kiedyś się skończy. Znowu będziemy mieszkać w swoich domach – rzekł pocieszająco.
- Dziękuję – rzekłam cicho.
- A teraz idź już, Wiktorio – okrył mnie kocem i podprowadził do drzwi.
Leżąc w łóżku, w mojej sali i patrząc na śpiącą obok dziewczynę, mą towarzyszkę, nie mogłam uwierzyć, w to, co się przed chwilą stało. Jeszcze wieczorem chciałam umrzeć, otruta cyjankiem, a teraz….
- Pragnę go zobaczyć znowu – zganiłam siebie za te myśli.

Jednak, kiedy pielęgniarka wywołała moje imię, oznajmiając że znowu dzisiaj mam spotkanie, nie potrafiłam opanować drżenia rąk i „motyli" w brzuchu.
- Tylko nie zapomnij zabrać cyjanku, gdyby coś poszło nie tak – rzuciła ironicznie dziewczyna z mojej sali.
Skwitowałam jej słowa milczeniem. Idąc korytarzem, spojrzałam machinalnie w wiszące na ścianie lustro. Dziewczyna, którą zobaczyłam miała błyszczące oczy i czerwone z emocji policzki.
- Przy Tomasie nigdy tak się nie czułam – uderzyła mnie znowu sensacyjna myśl.

Wchodząc do znajomego, pachnącego wodą kolońska pomieszczenia, miałam ochotę zemdleć z emocji. On stał tyłem, a kiedy się odwrócił, spostrzegłam, że w ręku trzyma różę. Jej płatki były równie pąsowe, co moje lico. Wilhelm pogładził nią mój policzek.
- Są tak delikatne i niewinne, jak ty – zaczął tym swoim aksamitnym głosem, a ja cała drżałam z emocji.
Nieoczekiwanie spojrzałam na jego mundur. Wisiało na nim mnóstwo medali. Wilhelm pochwycił mój wzrok.
- Nawet nie wiesz, jak mi ciąży ten mundur, Wiktorio. Wszyscy jesteśmy tutaj ofiarami.
Tymczasem dopiero teraz moją uwagę przykuł gramofon. Oprócz bicia swego serca, usłyszałam dźwięki mojej ulubionej melodii:
- Miłość ci wszytko wybaczy…- słowa Hanki Ordonówny pieściły moje uszy.
- To piosenka o nas – zaczął cicho Wilhelm, po czym popatrzył mi głęboko w oczy i rzekł:

- Zgodziłem się na tę farsę dla przyjemności. Nie planowałem tego, ale…zakochałem się w tobie, Wiktorio.

Brakowało mi tchu, kiedy moje serce krzyczało te same słowa…

- Ja – zaczęłam znowu nieporadnie i nie skończyłam, bo alarm syren przerwał tę magiczna chwilę…

- Uciekaj Wiktorio! – rzekł mój ukochany. – To Rosjanie bombardują. Stałam nieruchomo, kiedy pociągnął mnie mocno za ramię i biegnąc, wyprowadził ze szpitala.

- Uciekaj, Wiktorio! – powtórzył znowu. – Żałuję, że nie spotkaliśmy się sto lat wstecz, lub sto lat później…

Spojrzałam mu w oczy…Po raz ostatni, bo naraz odwrócił się i wbiegł z powrotem do budynku. Dopiero teraz odzyskałam świadomość.

- Nie odchodź! – padłam na kolana krzycząc. – Kocham cię, kocham z całych sił!

Naraz huk wysadzanego budynku odrzucił mnie w tył.. Dopiero teraz zrozumiałam, co się tak naprawdę stało.

- Boże, nie! – krzyczałam z całych sił, zdając sobie sprawę, że Wilhelm został w środku! Żałość i rozpacz rozrywała moje serce. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że jestem bosa. Gdzieś po drodze zgubiłam swoje trzewiki. Szłam po wyboistych drogach Raciborza i łkałam żałośnie.

Rozpacz nie minęła nawet po wyzwoleniu Raciborza przez Rosjan i przyjęciu przez miasto polskiego oblicza. Moje miasto było okaleczone równie mocno, jak ja. Ponad osiemdziesiąt procent budynków mieszkalnych, zakładów przemysłowych i gmachów publicznych zostało zniszczonych, zarówno wskutek walk, jak i podpaleń dokonanych przez żołnierzy radzieckich. Po przejściu frontu w mieście znajdowało się zaledwie trzy tysiące mieszkańców. Liczba ta jednak stale powiększała się wskutek napływu przesiedleńców ze Wschodu, powrotu Raciborzan, którzy uciekli przed zbliżającym się frontem oraz osiedlania się mieszkańców okolicznych wsi i miasteczek. Niemieccy mieszkańcy zostali po 1945 roku w większości wysiedleni do zachodnich Niemiec. Czas ten stał się dla mnie okupionym łzami. Okazało się, że nikt z mojej rodziny nie przeżył…Udało mi się nawiązać kontakt, z wujem Herbertem Domsem, który przeniósł się do Munster, gdzie prowadził wykłady na tamtejszym uniwersytecie. Nie miałam jednak żadnych wieści o moich przyjaciołach – Marcie i Tomasie.

Zatrudniłam się szpitalu jako pielęgniarka, tym samym, w którym zostało moje okaleczone po niespełnionej miłości, serce. I tak upłynęło kilka lat… Wiele spalonych i zniszczonych zabytkowych kamienic zostało, a cegła z rozbiórki została wywieziona na odbudowę Warszawy. Na ich miejscu zbudowano socjalistyczne bloki lub pozostawiono luki w zabudowie. Pomimo tego, zachowało się sporo obiektów zabytkowych. W pierwszym

dziesięcioleciu po wojnie miasto zostało odbudowane, a następnie rozbudowane. Uruchomiono stare zakłady przemysłowe i budowano nowe, w latach 50. powstała Raciborska Fabryka Kotłów „Rafako" oraz rozpoczęto budować nowe osiedla mieszkalne. Obserwując odradzające się miasto, czułam, że i ja, choć w niewielkim stopniu, jestem w stanie odbudować swoje życie.

Aż nadszedł ten dzień, który znowu przywrócił cień przeszłości.

- Siostro, jakaś kobieta chce się z panią widzieć – doktor Jabłoński wskazał mi gabinet, w którym oczekiwała na mnie nieznajoma kobieta.

- Słucham panią –rzekłam, przyglądając się pochylonej kobiecie. Naraz…coś wydało mi się w niej znajome. Ten sam mały zadarty piegowaty nosek, gęste rude włosy, choć już przyprószone siwizną:

- Marta! – krzyknęło moje serce, a dłonie oplotły jej szyję. Całowałam ją i śmiałam się na przemian. Naraz jednak jej ręce odepchnęły mnie i moja dawna przyjaciółka popatrzyła na mnie jakość tak smutno:

- Wiktorio, to ja! To byłam ja.

Patrzyłam na nią i nie rozumiałam, o czym mówi.

- To ja was wydałam gestapo! Nie mogłam znieść, że masz wyjść za Tomasa. Myślałam, że jak się was pozbędę, a szczególnie ciebie, on zwróci na mnie uwagę – szlochała.

Po chwili zrozumiałam wszystko. Odepchnęłam ją w jednej chwili:

- Zrujnowałaś mi życie! – krzyknęłam. – Przez ciebie tatko zginął, a potem, jak się dowiedziałam i matka, z żałości po nim. Ty wiesz, co oni ze mną robili? – wrzeszczałam bez opamiętania, jednak odpowiadało mi milczenie Marty. Naraz zamachnęłam się, żeby ją uderzyć, jednak ręka, zamiast ciosu, pogładziła jej policzek:

- Wiesz co? Żal mi ciebie. Zgubiłaś się po drodze. Nawet nie wiem kiedy. Ale wybaczam ci, wybaczam z całego serca. A teraz odejdź i nie wracaj nigdy – odwróciłam się do niej placami, nie bacząc nawet, że klęka i pada do moich stóp, całując brzeg mojego fartucha. Dumnym krokiem wyszłam z gabinetu, zatrzaskując z hukiem drzwi. Pewna część mojego życia została zamknięta. Wybaczając Marcie, poczułam się lekka. Jednak to przebaczenie było pewnego rodzaju formą zemsty.

Naraz naszła mnie dziwna myśl. Oto zapragnęłam znowu zobaczyć moją raciborską Odrę, jedyną stała pamiątkę po beztroskich latach. Kiedy ujrzałam jej falujący brzeg, uczucie błogiego szczęścia wypełniło moje serce. Zdjęłam trzewiki i jej wody obmyły moje bose stopy. Spojrzałam w dal. Rzeka falowała dumnie niczym kokarda na wietrze. Jej wody stały się pamiątką wojen i pokoju, szczękania mieczy i wybuchu bomb. Rzeka pożarła wszystko i nasze

myśli zabrała ze sobą. Mój wzrok pełen łez zszedł w dół i objął swym zasięgiem me bose stopy. Naraz uświadomiłam sobie, że obok moich znajduje się jeszcze jedna para.

- Podaruje ci cały świat, Wiktorio – usłyszałam głos, za którym tak tęskniłam przez całą wojnę.

- Pamiętasz, co krzyczeliśmy latałem trzydziestego dziewiątego? Jesteśmy jak ta Odra, jak nasz Racibórz…Nieśmiertelni!